

HELENA ŻYTKOWICZ

(1934–2015)



Z archiwum akt osobowych IBL PAN

O MOJEJ SIOSTRZE HELENIIE – KILKA FAKTÓW Z ŻYCIA

Urodzona w 1934 roku w Wilnie, wilnianką pozostała przez całe życie, pomimo że nie była w rodzinnym mieście za czasów radzieckich (po prostu nie chciała widzieć innego niż zapamiętane), pojechała dopiero około roku 2010 z panem Kozarynem do jego przyjaciół, wróciła szczęśliwa.

Maturę uzyskała w Toruniu w Szkole Ogólnokształcącej st. Podstawowego i Licealnego im. Mikołaja Kopernika w Toruniu w 1951 roku. Epizod toruński trwał od 1945 do 1951 roku i w Jej odczuciu był to tylko epizod. Wróciła tam jeszcze na kilka lat po studiach. Ponownie wyfrunęła do Warszawy i do Torunia przyjeżdżała wyłącznie do rodziny, czując się warszawianką.

Studia wyższe na Uniwersytecie Warszawskim ukończyła w 1957 roku na Wydziale Filologicznym pracą *O metodzie artystycznej Marii Dąbrowskiej*, napisaną pod kierunkiem prof. dr. Kazimierza Budzyka. W latach 1957–1959 pracowała przez pewien czas w Bibliotece Uniwersytetu Toruńskiego (Stare Druki), a następnie wykonała dla Instytutu Badań Literackich prace pod kierunkiem prof. dr. Konrada Górskiego; pierwszą związaną z wydaniem krytycznym dzieł Adama Mickiewicza, drugą dotyczącą wariantów językowych przekładów katolickich Biblii.

W 1959 roku otrzymuje asystenturę w Pracowni Pedagogiki i Historii Kultury Fizycznej, kierowanej przez prof. dr. Ryszarda Wroczyńskiego – do 1967 roku. Zostaje autorką *Bibliografii wychowania fizycznego i sportu w Polsce za lata 1841–1914* oraz artykułów *Wychowanie fizyczne i sport w „Kronikach” Bolesława Prusa* i *Zagadnienia higieny w „Kronikach” Bolesława Prusa*.

W międzyczasie współpracuje z IW „Nasza Księgarnia”, Redakcją Pedagogiczną Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, przygotowuje z rękopisów *Lustracje województwa płockiego, podlaskiego i bełskiego 1564* (1992–2002). Opracowuje również zestaw ilustracji do III tomu serii *IV Obrazu Literatury Polskiej*.

Od 1967 roku związała się z Instytutem Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, gdzie do emerytury w 1994 roku pracowała w Redakcji *Obrazu Literatury Polskiej XIX i XX wieku* (oprócz innych prac redakcyjnych przygotowała biblio-

grafię Mieczysława Jastruna). Pracowała jako adiunkt dokumentacji naukowej, starszy dokumentalista, redaktor książek naukowych z zakresu literatury (np. Mieczysława Jastruna *Forma i sens poezji. Z papierów pośmiertnych*, 1988; redaktor wydawanej w IBL PAN serii „Zrozumieć Mickiewicza”; redaktor serii Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego „Nauka o literaturze polskiej za granicą”).

Na emeryturze była nadal czynna zawodowo, współpracując z licznymi wydawnictwami, między innymi z Warszawskim Wydawnictwem Literackim Muza i Noir sur Blanc. Opracowała również redakcyjnie encyklopedię *Mickiewicz* (2001) autorstwa Jarosława Marka Rymkiewicza, Doroty Sawickiej, Aliny Witkowskiej i Marty Zielińskiej oraz *Korespondencję Mikołajusa Konstantinasa Čiurlionisa* dla Muzeum Narodowego w Kownie (w druku).

Anna Kosicka



HELA

To będzie bardzo krótkie wspomnienie. Znałyśmy się mało, ale bardzo intensywnie. Tak chyba jest zawsze, gdy ktoś – w tym przypadku Hela – dobiera się do trzewi autora, ze skalpelem wchodząc w słowa i myśli zrodzonego przezeń tekstu.

Więc zacznę od tego, co najistotniejsze, od jej pracy jako redaktora. Jakiż to był precyzyjny chirurg! Doświadczyla kontaktów z redaktorami, którzy operowali nie skalpelem, ale siekierą, z takimi też, którzy tekstu nie rozumieli – ale nie na tym tle Hela się wyróżniała. Była gwiazdą wśród redaktorów dobrych. Wszystko sprawdzała – widywałam ją w Bibliotece Narodowej, jak cały dzień umiała poświęcić na sprawdzenie jakiegoś jednego zdania. Ale i to wchodzi pewnie w zakres każdego przyzwoitego redaktorstwa – nie chodzi mi o prostą rzetelność. To było coś więcej. Jakiś redaktorski charyzmat, polegający na zespoleniu dociekliwości i empatii. Wiedziałam, że znajdzie najdrobniejszy defekt tekstu; wiedziałam też jednak, że uszanuje każdą jego zamierzoną odrębność.

Miała więc redaktorski szósty zmysł.

Miała też wielkie wykształcenie, które – jak u wszystkich pracujących w cień „twórców” – nie ujawniało się, tylko służyło cudzemu tekstowi. Taka pokorna służba nie każdemu by odpowiadała. Heli nie przeszkadzała swego rodzaju drogoplanowość jej zajęcia. Pochodziła z rodziny profesorskiej, jej ojciec, profesor Leonid Żytkowicz, był historykiem–mediewistą na uniwersytecie toruńskim. Hela mogłaby równie dobrze prowadzić samodzielne badania, swoją pracę jako redaktora jednak ceniła wysoko i poświęciła jej bez reszty. Spełniała ją z miłością. Gdyby używała wielkich słów, nazwałaby swoją robotę służbą. Tyle że miała na to zbyt wiele poczucia humoru.

Inne cechy osobowości Heli?

To zapiszę, co widziałam. Widziałam więc mieszkanko niewielkie, wypełnione książkami, ale i ładnymi starymi przedmiotami, także wileńskimi. Widać było odrębną smak tego zadomowienia. Zamiłowanie do tego, co ładne, widać było też

w nieskomplikowanych, ale zawsze przemyślanych ubiorach Heli. Poruszała się na co dzień wśród tego, co ciekawe i piękne. Słuchała dobrej muzyki. Bliższy kontakt z nią – a ten nastąpił, gdy była już chora i trochę wychodziłyśmy na spacerki – uświadomił mi, że była trochę osamotniona. Może też dlatego, że owo zamilowanie do tego, co ciekawe i piękne, przenosiła na ludzi? Może dlatego pozostawała trochę obca? Osobna?

I inna rzadko spotykana cecha Heli: jej poczucie humoru. Ściszony dowcip, jak u jej ojca, i właściwa miara rzeczy.

Wyjątkowy człowiek. Różniła się od otaczających, przynosząc w swój czas po trochu już zapomniane, charakterystyczne rysy wileńskiej inteligencji. Bardzo mi była bliska.

Toteż otrzymałam z radością i zachowałam z szacunkiem karteczkę, którą dostałam od Heli po wydaniu zredagowanej przez nią ostatniej mojej książki – jej bezinteresowna pochwała znaczyła więcej niż jakakolwiek inna.

Krystyna Jakowska



Pani Helena Żytkowicz redagowała moją książkę *Poezja w fazie krytycznej i inne studia z literatury polskiej* (2001). Był to zbiór różnych artykułów, pisanych pierwotnie głównie po niemiecku i traktujących o różnych tematach – od Kochanowskiego do Różewicza. Dzięki Alinie Nowickiej-Jeżowej trafił jako tom V do serii „Nauka o literaturze polskiej za granicą”. Sytuacja była trudna, gdyż nad przekładami pracował ósmioosobowy skład tłumaczy, wśród których wybiła się sama pani Helena. Osobiście bezbłędnie przełożyła jedną z moich rozpraw z francuskiego (może nie bez wsparcia Aliny Nowickiej-Jeżowej). Kilka przekładów wymagało najpierw mojej bardzo intensywnej korekty, a potem oczywiście jeszcze korekty pani Heleny. Ona to załatwiała z wielką elegancją. Miała z jednej strony „słuch absolutny” w sprawach stylistycznych, a z drugiej rzadki dar inteligentnej empatii dla stylu autora. Nasza korespondencja odbywała się jeszcze pocztą lądową, a jej listy były zawsze ewenementem w mojej codzienności. Raz dyskretnie zwierzyła mi się ze swojej admiracji dla poety Mieczysława Jastruna, zachęcając mnie do zajęcia jego cyklami lirycznymi. Co prawda, nie wykonałem tej cichej prośby, ale w skrytości ducha skierowałem właśnie do pani Heleny moje odwołania do Mieczysława Jastruna w kontekście *Quidama* Norwida czy liryki Książnina.

Rolf Fieguth



Polubiłem panią Helena Żytkowicz, zanim ją poznałem – widywałem niekiedy jej postać w korytarzu iblowskim albo w bibliotece; przypominała mi kogoś. Sam nie wiem, czy bardziej kogoś z lektur (wyobrażałem sobie, że tak powinna wyglądać postać literacka, choć nie bardzo wiedziałem, jaką: starsza, samotna *lady*, czytająca z zapamiętaniem i po angielsku książki Virginii Woolf, na krótko przed wybuchem wojny? Anna Karenina, która przeżyła i doczekała się wnuków? Polska

szlachcianka, której synowie poszli do powstania?), czy raczej kogoś rzeczywistego (miała rysy pewnej Polki, powstańczyni, która wyemigrowała do Paryża, oraz jej siostry, mamy moich najlepszych warszawskich przyjaciół).

A później – po prostu – okazało się, że to Ona będzie redagowała moją książkę *Oczy Dürera. O melancholii romantycznej* (2002). Już parokrotnie miałem okazję wyrażać się publicznie – także jako tłumacz – o pracy redaktorów, wyrażać się w samych superlatywach. Miałem do nich wielkie szczęście, ale też, mówiąc szerzej, miałem szczęście poznać osoby (wyłącznie panie) z profesji, która powoli odchodzi w niepamięć. Mówię o profesji, która bym określił: „Panie-Redaktorki-Które-Zdobyły-Fach-Jeszcze-w-PRLu”. Niezastąpione, wszystko-wiedzące, absolutne mistrzyni składni i logiki, nieustraszone wyłapywaczki każdego błędu i zwłaszcza każdej głupotki. Taką była i Pani Helena. Nie raz mogłem jej powiedzieć, po kolejnych oddanych przez Nią rozdziałach: Pani uratowała mnie od kompromitacji. Nie pamiętam szczegółów albo je wyparłem, pamiętam natomiast rosnące poczucie wdzięczności, a przede wszystkim zdumienie, że jest tyle rzeczy, o których mnie, piszącemu, w moim własnym tekście się nie śniło. Choć tam było – i czekało na poprawki.

Więc tyle. Jeśli dobrze pamiętam, przyniosłem jej po skończonej redakcji bukiet kwiatów. I zaprosiłem ją – w tym mniej więcej czasie Pani Helena redagowała *Mickiewicza. Encyklopedię* (2001), pisaną przez moich kolegów z Pracowni Romantycznej – na naszą pracownianą Wigilię do naszego „romantycznego” pokoju. Widzę, jak siedzi gdzieś między Profesor Witkowską i Profesor Janion, wśród ludzi (bo była tam jeszcze Pani Profesor Żmigrodzka, był Ryszard Przybylski i Jarosław Marek Rymkiewicz), którzy napisali tyle ważnych – może najważniejszych – książek, nie tylko o romantyzmie – jest trochę z boku, trochę niepewna, może nawet lekko zawstydzona, więc trzeba jeszcze nałożyć Jej kawałek tortu. Teraz, w tym krótkim wspomnieniu, nakładam drugi.

Marek Bieńczyk



Coraz więcej pustych miejsc, których nie da się już zapisać. Odchodzi uformowana na Kresach inteligencja polska, która łączy w sobie właściwą ludziom z tamtych stron serdeczność i otwartość z szacunkiem do nauki, szczerym przywiązaniem do sztuki, pięknym wychowaniem i oddaniem pracy dla wspólnego dobra.

Pani Helena Żytkowicz była redaktorem doskonałym. Ogólna erudycja, kultura literacka i wrodzona żywość umysłu pozwalały jej wżyć się w czytany tekst i zjednoczyć z jego myślą do tego stopnia, że umiała wspomóc autora w znalezieniu odpowiedniego słowa. Nie tylko rozumiała myśl, ale także odczuwała styl, a wewnętrznym uchem słyszała intonację oraz rytm mowy. Nic dziwnego, że szczególnie chętnie współpracował z nią Marek Bieńczyk, zarówno przy tekstach naukowych, jak i literackich. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś zatelefonowała do mnie późnym wieczorem w sprawie już oddawanego do druku mojego artykułu

o postmodernistycznym Słowackim. Odczytawszy jedno z ostatnich zdań, rzekła dramatycznym tonem: „Rytm się tu załamuje, poszukuję jakiegoś słowa trzysylabowego zamiast dwusylabowego, żeby utrzymać tok daktyliczny”. Długo szukałam odpowiedniego leksemu, ale go znalazłam. O północy przekazałam informację Pani Helenie. Rytm został uratowany.

Ten właśnie – dla autora ostatni – etap pracy nad tekstem, mało zwykle lubiany, żmudny etap redakcji i korekty, dzięki pani Helenie stawał się okresem najprzyjemniejszych rozmów o subtelnościach znaczenia słowa, wspólnym poszukiwaniem rozwiązań, spotkaniem z przyjacielem. Chyba nie ja jedna, dzięki wspólnej pracy przy redakcji, stałam się kimś zaprzyjaźnionym, zaproszonym do domu. W skromnym mieszkaniu przy ul. Etiudy Rewolucyjnej było mało książek – pani Helena powiedziała mi, że pracuje głównie w bibliotekach. Było też mało przedmiotów. Można by powiedzieć, że jako redaktor doskonały Pani Helena zagospodarowywała raczej przestrzeń swego umysłu niż owe dwa niewielkie pokoje, ale wspominam to ascetyczne niemal wyposażenie z pewną przykrością, ponieważ świadczyło o wieloletniej słabej kondycji materialnej człowieka związanego z pracą naukową. A przecież właścicielka mieszkania pracowała w jednym z najbardziej prestiżowych wydawnictw w Polsce. Do obiadu podała surówkę z pomarańczy z cebulą. „Liczę na to, że nie jest pani bardzo schematyczna w jedzeniu” – powiedziała gospodyni. Nie byłam – zjadłam – doceniłam, że pyszne. Czytałyśmy wiersze Jastruna, z którym Pani Helena była zaprzyjaźniona, przeglądałyśmy książkę biograficzną o nim, którą redagowała. Z małego magnetofonu pani Helena odtworzyła mi nagraną na taśmie swoją ulubioną pieśń, nadaną kiedyś przez radio – swój mały skarb, którym zechciała się ze mną podzielić.

Kiedy indziej byliśmy razem w Muzeum Narodowym na wystawie Ferdynanda Ruszczyca, długo stałyśmy przed słynnym obrazem *Ziemia*. Pani Helenie malarz ten i jego praca przypominały rodzinne strony, Wilno, gościnne domy i kuchnie pełne wszelkich produktów i smakołyków, o których mi opowiadała. Gospodyni wileńska wszystko miała pod ręką, nikt tam specjalnie się nie troszczył o porządek i dietę, nikt nie liczył kalorii i nie śledził zawartości witamin, a wszystko służyło zdrowiu, miłości, gościnności.

Pani Helena zmarła daleko od Warszawy, w ładnym, ale obcym dla niej domu opieki. Nie wiem, jak była tam kuchnia, jakie książki, jaka ziemia. Żałuję, że tam nie pojechałam, że nie zdołałam odwdziżyć się jej za przyjaźń.

Okruczy wspomnień, którym chciałoby się nadać znaczenie... Tak mało się pamięta, mniej, niżby się chciało. Tak mało się przybywało z ludźmi tak serdecznymi, tak wrażliwymi na serdeczność. Za mało, zawsze za mało.

Magdalena Saganiak



Panią Helenę Żytkowicz poznaliśmy osobiście w czasie międzyświątecznym, w ostatnich dniach 1995 roku, szczególnego dla nas z wielu względów – także ze

względu na to spotkanie, pierwsze w naszej prawie dwudziestoletniej serdecznej znajomości. W wyludnionym Pałacu Staszica, w małym pokoju czekała na nas za redakcyjnym biurkiem przemiła Pani, w dawnym stylu elegancka, łagodna w obęściu. W jej mowie delikatnie zaznaczała się śpiewność. Znajdowała się na antypodach wyobrażeń o kostycznych strażniczkach poprawności językowej i akuratrności w przypisach, choć przecież z oddaniem i stanowczością dbała o ścisłość i piękno wypowiedzi. Była jednak arystokratką języka i to, co inni przyjmowali i narzucali jako sztywną regułę, dla niej było najzupełniej naturalne. Potrafiła bez trudu rozwikłać największe zawiłości logiczne, składniowe, stylistyczne, uzasadnić trafnym przykładem potrzebę ingerencji, naprawić niezręczność lub bez skrupołów usunąć pozorne ozdobniki, natrętną leksykę, niewykształcone dobrze zdania i bezpodstawne twierdzenia. Dla akwizytorów modnych prądów nie miała litości.

Znała francuski, niemiecki, rosyjski, bułgarski... Jej drugim językiem domowym był białoruski, lecz najchętniej mieszkała w polszczyźnie. Polszczyzna stanowiła jej majątek dziedziczny, w którym dyskretnie, ale skutecznie gospodarowała. Nie eksponowała nigdy swojej roli, mimo że dla wielu pracowników słowa, nie tylko filologów, była instancją rozstrzygającą. Jej samotny dyżur w tym przybytku nauki, który dla nas łączył się przede wszystkim z badaniami nad literaturą, nabrał znaczenia symbolicznego.

Kompetencja językowa pani Heleny Żytkowicz zdumiała nas już w jej pierwszych uwagach, które, przejąwszy opiekę redakcyjną nad „Archiwum Literackim” (tomem 27: *Miscellanea z okresu Młodej Polski*), sformułowała w odniesieniu do ineditów Romana Jaworskiego. Nie znając rękopisów, a jedynie edytorsko opracowany maszynopis, dokonała kilkudziesięciu spostrzeżeń, praktycznie niemożliwych do dokonania bez bezpośredniego kontaktu z tekstem. Znalazły się wśród nich – z zaleceniem sprawdzenia, czy aby nie jest tak, jak przypuszcza – rekonstrukcje słów lub wyrażeń, uznanych przez wydawców za nieczytelne i tak oznaczonych w przypisach. Pani Redaktor wyrozumiale zaliczyła je do „drobiazgów normalnych przy tego rodzaju opracowaniach”. Ktokolwiek zmagał się z podobnymi zadaniami, wie, ile wysiłku kosztują ponawiane próby rozszyfrowania takich miejsc i zna coraz bardziej gorzki smak kolejnych porażek. W dziewięciu na dziesięć wypadków Pani Żytkowicz trafnie odgadła, co znajduje się w manuskryptach. Było to prawdziwe zwycięstwo ducha nad materią.

Kilka lat temu Pani Helena zaczęła opadać z sił, wątpić w możliwość kolejnych zwycięstw. Przeżywała choroby i śmierć swoich przyjaciół, nie mogła się pogodzić z nonszalancją wydawnictw, dla których jej skrupulatność stała się zawadą w pospiesznym wypuszczaniu na rynek kolejnych produkcji. Do swoich bibliotek udawała się coraz rzadziej, taksówką; zapewne częściej fundowałyby sobie tę przyjemność, gdyby nie nadwierało to jej skromnego budżetu humanisty na emeryturze. Oddalała się więc coraz bardziej od swoich ulubionych miejsc i zajęć, aż wreszcie trafiła do ośrodka, odległego od jej Mokotowa, na kujawską prowincję. Do innych pensjonariuszy i obsługi odnosiła się z wyrozumiałością, choć nie mia-

ła szans na odnalezienie z nimi wspólnego języka. Konstatowała to ze smutkiem. Nawet telefon, który należał do jej ulubionych narzędzi kontaktu ze światem, gubił zasięg w szpitalnym pokoju Pani Heleny.

Trudno teraz wracać myślą do spotkań, spacerów, wspólnej samochodowej wycieczki na Inflanty i Litwę, do jej rodzinnego Wilna, do konwersacji telefonicznych, listów, nawet tych zabawnych, zapisywanych w postaci luźnych myśli i odcrywanych akapitów, tytułowanych przez Panią Helenę ironicznie SMS-ami. Jej brak jest ciągle zbyt dotkliwy.

W czerwcu ubiegłego roku w Toruniu podczas panichidy i obrzędów na cmentarzu rozbrzmiewał wspaniały śpiew ojca i syna Hajduczeniów. Wbrew pozorom nie w literaturze, ale w muzyce Pani Helena odnajdywała się najpełniej. Znała bowiem też tajniki *lingua angelorum*, mowy aniołów, którą teraz z pewnością jeszcze usprawnia i udoskonala.

Małgorzata i Radosław Okulicz-Kozarynowie